

## Autorytety naukowe na miarę czasu

W takim świecie zmieniających się wartości i wielkości, jaki stanowi kultura, również autorytety naukowe podlegają zmianom sprawiającym, że te z nich, które w swoim czasie błyszczały na firmamencie nauki albo całkowicie utraciły swój niegdysiejszy blask, albo przynajmniej sporo z niego straciły. Rzecz jasna, jedne z nich szybciej, inne wolniej i nie zawsze zależało od tego, co sobą prezentowały. Z reguły istotny na to wpływ miały również zmiany dokonujące się w ich bliższym i dalszym otoczeniu. Te ostatnie także dokonywały się, i dokonują, raz szybciej, innym razem wolniej. Oznacza to nie tylko szybszy lub wolniejszy upadek istniejących autorytetów naukowych, ale także pojawienie się nowych. Nauka bowiem nie znosi takiej próżni, jaką stanowiłby ich całkowity brak. Kwestią wartą uważniejszego przyjrzenia się jest nie tylko to, jak one się w niej pojawiały, ale także, jakie pełniły i pełnią role, oraz jak przechodziły na bardziej lub mniej godną szacunku „emeryturę”. Chciałbym tutaj przynajmniej w niektórych z tych kwestii podzielić się pewnymi uwagami i sugestiami. Przedstawię je po przywołaniu przykładowych ujęć problemu oraz kilku tzw. epokowych autorytetów.

### Przykładowe ujęcia problemu

Problem autorytetów był już wielokrotnie analizowany i przedstawiany przy różnej okazji i w różnej perspektywie badawczej. Na wstępie odwołam się do takiego ujęcia, które autor nazywa „socjologiczno-historycznym”. Zawiera ono nie tylko pewną historyczną retrospektywę pojawiania się i funkcjonowania w kulturze zachodniej różnego rodzaju autorytetów, ale także ma charakter generalizujący. Znajduje się ono w rozprawie Franka Furediego pt. *Autorytet*. We wprowadzeniu jej autor przypomina, że tytułowe pojęcie zostało użyte po raz pierwszy „jako forma samopoznania Augusta, cesarza Rzymu, dla wskazania, że wyposażony jest on w coś ważniejszego niż zwykły przywódca wojskowy lub polityczny”<sup>1</sup>. W dalszej części swoich rozważań wykazuje on, że pojmo-

---

\* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz, Katedra Religioznawstwa i Badań Porównawczych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, e-mail: drozd@amu.edu.pl

<sup>1</sup> „Od czasów Augusta były ciągle podejmowane próby zdobycia czegoś więcej niż siły. Jednak raz po raz społeczeństwa uznawały, że trudno jest znaleźć odpowiedni sposób konceptualizacji tego”. Por. F. Furedi, *Authority. A sociological history*, Cambridge University Press, New York 2013, s. 1 i d. Warto zwrócić uwagę, że zarówno w języku angielskim, jak i francuskim pojęcie to oznacza nie tylko *autorytet*, ale także *władzę*, *powagę* i *dostojeństwo*.

wanie i przedstawianie autorytetu dokonywało się w Cesarstwie Rzymskim przez kwestionowanie osiągnięć starożytnej Grecji, w okresie średniowiecza poprzez debaty dotyczące władzy religijnej i świeckiej, a w czasach nowożytnych i najnowszych przez debaty na temat funkcjonowania demokracji, opinii publicznej i nauki. W tych kwestiach sporo do powiedzenia mieli tacy „pionierzy nauk społecznych, jak Marks, Durkheim, Simmel, Tonnies, a zwłaszcza Max Weber”. W poszczególnych częściach tej rozprawy autor analizuje zarówno funkcjonowanie autorytetów w każdym z wymienionych tutaj okresów, jak i wskazuje na takie występujące w różnym czasie i w różnych społeczeństwach procesy, jak: „racjonalizacja autorytetu oraz jej ograniczenia”, „oswajanie z autorytetem opinii publicznej”, czy „przekazywanie władzy przez racjonalizację perswazji”. Wskazuje także na różnego rodzaju zmienne, sprawiające pojawienie się jednych autorytetów i znikanie innych (takie np. jak „wybuch epidemii grypy, klęska żywiołowa, wypadek lub kryzys finansowy”), jego usprawiedliwianie i uprawomocnianie („w całej historii takie podstawowe normy, jak – boski autorytet, tradycja i zwyczaje, rozum i nauka, powszechna zgoda – stanowią bazę dla narracji o uprawomocnianiu autorytetu”), oraz ujawnianie ich słabych stron, gdy w społeczeństwie pojawia się potrzeba perswazji<sup>2</sup>.

Często przywoływanym przez Furediego autorytetem w tej rozprawie jest Max Weber. Wprawdzie nie powołuje się na niego bezkrytycznie (jednym ze stawianych przez niego zarzutów jest brak wyraźnej odpowiedzi na pytanie, czy autorytet opiera się na panującej władzy, czy też ta władza opiera się na panującym autorytecie), jednak to właśnie tego uczonego uznaje on za jednego z bardziej znaczących badaczy analizujących i przedstawiających związki autorytetu z panowaniem społecznym. Warto przywołać przynajmniej niektóre z weberowskich wskazań.

Szczególnie szeroko i głęboko problem ten jest analizowany w jego rozprawie pt. *Gospodarka i społeczeństwo*. W jej części III – zatytułowanej: *Typy panowania* – Weber stwierdza, że zarówno panowanie, jak i autorytet „cehuje określone minimum woli posłuszeństwa”, oraz dodaje, że żaden z nich „nie zadowala się dobrowolnie wyłącznie materialnymi lub jedynie efektywnymi, czy też wyłącznie wartościowo racjonalnymi motywami jako szansami swego trwania. Każdy z nich stara się także wzbudzać wiarę w swą «prawomocność»”<sup>3</sup>. Wyróżnia on „trzy czyste typy prawomocnego panowania”,

<sup>2</sup> „Sama potrzeba perswazji jest zwykle w czasach nowożytnych świadectwem nieobecności władzy i stanowi ona główny temat tej książki. Naszym celem nie jest przedstawienie historii autorytetu, lecz zbadanie jego zmieniającego się znaczenia od czasów starożytnej Grecji do współczesnych, oraz wykazanie, że wierzenia, zwyczaje i konwencje stanowią podstawę dla organu uzasadniającego go” (tamże, s. 4).

<sup>3</sup> „Wraz z rodzajem prawomocności, do jakiej pretenduje dane panowanie (i dany autorytet – uw. wł.), zmienia się także typ posłuszeństwa, gwarantującego je sztabu administracyjnego i charakteru sprawowania panowania (i autorytetu)”. Por. M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo*.

tj. 1) „racjonalny – opiera się na wierze w legalność ustanowionych porządków i prawa wydawania poleceń przez osoby powołane przez nie do sprawowania panowania (...); 2) tradycyjny – opiera się na powszedniej wierze w świętość obowiązujących od zawsze tradycji i prawomocność obdarzonych przez nie autorytetem osób (...); i 3) charyzmatyczny – opiera się na niepowседневnym oddaniu osobie uznawanej za świętą, za bohatera czy wzorzec, i objawionym przez nią porządkom (...)”. Każdy z tych typów panowania jest przez Webera szczegółowo analizowany i przedstawiany.

Przywołam tutaj jedynie jego ustalenia dotyczące panowania charyzmatycznego. Po pierwsze zatem, wyjaśnia on, co nazywa *charyzmą*. W świetle tego wyjaśnienia jest to „uznawana za niepowседневnią (...) cecha jakiejś osoby, z racji której uważana jest ona za obdarzoną nadprzyrodzonymi, nadludzkimi lub przynajmniej rzeczywiście niezwykłymi, nie każdemu dostępnymi siłami czy właściwościami”. Odpowiada także na pytania: 1) co rozstrzyga o „obowiązaniu charyzmy”? (rozstrzygać ma o tym m.in. „zaufanie do przywódcy, uznanie jej przez osoby podlegające panowaniu”); 2) jaką rolę odgrywa charyzma w różnych epokach (w epokach związanych z tradycją jest ona „wielką swoistą rewolucyjną siłą”, sprawiającą „przemianę głównej orientacji zasad i czynów”); oraz 3) co sprawia, że charyzma najpierw powszednieje, a później traci swoje panowanie – sprawiać to mają w różnych społecznościach oraz w różnych etapach rozwoju tej samej społeczności wprowadzić różne czynniki, ale do pewnej prawidłowości należy m.in. utrata przez osobę będącą jej nosicielem zwolenników oraz pojawienie się nowego typu charyzmatyków. Zdaniem Webera, zarówno spowszednienie, jak i utrata charyzmy nie odbywa się bez walki<sup>4</sup>.

Interesujące są również spostrzeżenia Webera dotyczące społecznego funkcjonowania intelektualistów i ich związków z charyzmą oraz z różnymi typami panowania. Kwestia ta pojawia się w wielu fragmentach w tej obszernej monografii. W części V, poświęconej analizie „typów religijnych stosunków wspólnotowych”, wyróżnia on warstwę „negatywnie uprzywilejowanych” („ich swoistą potrzebą jest zbawienie od cierpienia”). W tej grupie społecznej znajdować się mają m.in. intelektualiści. Tym, co ich łączy, są m.in. „metafizyczne potrzeby ducha, którego do rozważania etycznych i religijnych problemów nie zmusza materialna niedola, lecz przymus wewnętrzny, by móc ująć świat jako sensowny kosmos i zająć wobec niego stanowisko”. Nie oznacza to jednak, że intelektualista nie szuka żadnego zbawienia. Oznacza to natomiast, że ten typ zbawienia, którego on szuka, „jest zawsze zbawieniem od «wewnętrznej niedoli», i dlatego ma zaw-

---

*Zarys socjologii rozumiejącej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 158 i d.

<sup>4</sup> „Początkowo nie zapomina się o osobistych wymaganiach charyzmy pana, a walka charyzmy urzędowej lub dziedzicznej z charyzmą osobistą stanowi w dziejach typowy proces” (tamże, s. 190).

sze, z jednej strony, bardziej oddalony od życia, a z drugiej – bardziej zasadniczy i systematyczny charakter niż zabawienie od zewnętrznej niedoli, które właściwe jest nieuprzywilejowanym warstwom. Intelktualista stara się podążać niezliczonymi drogami i nadać swemu sposobowi życia jakiś całościowy «sens», a więc doprowadzić do «jedności» z samym sobą, z ludźmi i z kosmosem (...). Im bardziej intelektualista wypiera wiarę w magię, i przez to «odczarowuje» procesy w świecie, które tracą swój magiczny «sens» i już tylko «są», i «dzieją się», ale już nic nie «znaczą», tym pilniejszy staje się wymóg, by świat i «sposób życia» jako całość znamionowało znaczenie i «sens». Konflikt tego postulatu z realiami świata i jego porządkami oraz możliwościami sposobu życia w nim prowadzą do swoistej dla intelektualistów ucieczki od świata, która może być zarówno ucieczką w absolutną samotność, albo – w nowocześniejszej wersji w nienaruszoną przez ludzkie porządki «naturę» (...)»<sup>5</sup>.

Przywołana tutaj Weberowska lista typów intelektualisty i intelektualizmu nie jest kompletna. Jednak nawet na tej wybiórczej podstawie można wskazać „pomost” prowadzący do filozofów i filozofii. W żadnej części tej rozprawy nie występują oni jednak w głównych rolach, a w tych jej fragmentach, w których się pojawiają, niejednokrotnie nie należą do grona osób godnych społecznego uznania. Widoczne jest to zwłaszcza wówczas, gdy ich funkcjonowanie społeczne oceniane jest – tak jak to ma miejsce w części 4 tej rozprawy – z religijnego punktu widzenia. Pojawia się tam m.in. stwierdzenie, że całe ich filozofowanie jest jedynie „intelektualną gadaniną”<sup>6</sup>. Lepiej wypadają oni wówczas, gdy są oceniani z politycznego punktu widzenia (przyjęty on jest w części 5 i 6 tej rozprawy). Nie tylko bowiem nabywają wówczas „urzędzowanej charyzmy”, ale także mają istotny wpływ na jej nabywanie przez innych (m.in. poprzez uprawomocnienie w teoriach i praktykach wychowania swojego modelu charyzmy”<sup>7</sup>.

<sup>5</sup> „Ten filozoficzny typ intelektualizmu, którego nośnikami są – przeciętnie – społecznie i ekonomicznie dobrze sytuowane klasy (...), nie jest jednak jedynym ani często najistotniejszym z religijnego punktu widzenia. Obok niego istnieje intelektualizm proletaroidalny, powiązany z intelektualizmem wytwornym przez zające się stadia przejściowe, a odróżniający się od niego wyłącznie rodzajem typowego sensu, na jaki jest zorientowany” (tamże, s. 394).

<sup>6</sup> Z tego punktu widzenia ich potrzeba poszukiwania „sensu” i w jakiejś mierze znajdowanie go poprzez demystyfikację religii i religijności oraz „pogardliwą indyferencję wobec problemów religijnych i Kościoła” sprawia, że „z ich gadaniny nigdy jeszcze nie powstała żadna nowa religia” (por. tamże, s. 402).

<sup>7</sup> „Pierwotnie charyzmatyczne wychowanie może w toku procesu przekształceń stać się formalnie państwową lub kościelną instytucją, albo też może być pozostawione formalnie swobodnej inicjatywie osób zainteresowanych zrzeszonych w cechu. (...) W hellińskiej polis i w Rzymie istniał nie tylko państwowy, ale także kapłański aparat biurokratyczny, który mógłbym stworzyć klerykalny system wychowania...” (tamże, s. 847). Podobnie było w czasach średniowiecza oraz w czasach nowożytnych i praktycznie aż do połowy XIX stulecia, tj. do momenty pojawienia się

W tej obszernej rozprawie znajduje się niewiele takich wypowiedzi, w których w znaczących rolach społecznych występują uczeni. Tę lukę w jakiejś mierze wypełnia wykład wygłoszony przez M. Webera w 1917 roku na Uniwersytecie w Monachium, zatytułowany: *Nauka jako zawód (Wissenschaft als Beruf)*. Podjęta w nim kwestia autorytetu uczonych ma co najmniej dwa istotnie różniące się „oblicza”. Każde z nich związane jest w jakiejś mierze z panowaniem na wyższych uczelniach – nie tyle jednak z panowaniem osób, co systemów, w których przychodzi im funkcjonować zawodowo. Pierwszy z nich (nie najpiękniejszy) związany jest z panującym na uczelniach w Stanach Zjednoczonych „systemem biurokratycznym”. Społeczną pozycję uczonego mierzy się w nim miejscem w akademickiej hierarchii i związaną z nim wysokością uposażeń. Najniższy szczebel zajmuje w niej młody naukowiec-asystent, otrzymujący „na początku skromną pensję”<sup>8</sup>. Najwyższy profesor, otrzymujący w tym systemie uposażenie odpowiednie dla średniego szczebla kadry kierowniczej. Problemem jest jednak nie tylko różnica uposażeń, ale przede wszystkim wzorowanie tego systemu na tym, który obowiązuje w kapitalistycznych zakładach produkcyjnych. W efekcie na amerykańskich uczelniach „asystent jest w równym stopniu zależny od dyrektora instytutu, co pracownik w fabryce (dyrektor instytutu uważa bowiem w całkiem dobrej wierze, że ów instytut jest «jego» i że to on w nim rządzi)”. Weber nie wyklucza możliwości posiadania przez takiego dyrektora swoistej charyzmy. Jest to jednak innego rodzaju charyzma niż ta, którą posiadają, a przynajmniej posiadać powinni, uczeni

Punktem wyjścia do nakreślenia obrazu tej ostatniej uczynił Weber ten model uczelni, który obowiązywał (i w jakiejś mierze obowiązuje nadal) na niemieckich uniwersytetach. W nim kadra uczelniana przechodzi również drogę od asystenta do profesora. Jednak na tej drodze nie tylko pojawia się stanowisko docenta i habilitacja, ale także „bolesny dylemat, czy habilitować zasadniczo każdego naukowca, który wykazał się zdolnościami, czy też uwzględniać «pobyty na wykładownictwie», a więc monopol nauczania przyznać docentom już utytułowanym”<sup>9</sup>. Istotne znaczenie ma w tym modelu to, że nie można się habilitować na tej samej uczelni, na której się uzyskało doktorat. Sprawia to, że ci mistrzowie i nauczyciele, którzy są uznawani za autorytety w jednej

---

systemu edukacji świeckiej (na różnych poziomach kształcenia i wychowania) miał on swoisty monopol na tworzenie tego systemu.

<sup>8</sup> „Najczęściej odpowiada ona wysokości wynagrodzenia robotnika stojącego niewiele wyżej od robotnika niewykwalifikowanego”. Por. M. Weber, *Nauka jako zawód i powołanie*, [w:] Z. Krasnodębski, M. Weber, Wiedza Powszechna, Warszawa 1999, s. 199 i d.

<sup>9</sup> „Najczęściej wybiera się to drugie wyjście. Oznacza to jednak zwiększenie groźby, że faworyzować się będzie jednak swoich uczniów. (...) Rezultat był taki, że jeden z moich najzdolniejszych uczniów został odrzucony na innej uczelni, a to jedynie dlatego, że nikt mu nie wierzył, że takie właśnie są moje zasady” (tamże, s. 200)

uczelnii, mogą być nieuznawani za nie w innej. Prowadzi to do tego, że „jednym z nieodłącznych momentów uniwersyteckiej kariery jest zwykły przypadek” lub też – co na to samo wychodzi – szczęśliwy zbieg okoliczności. Weber szczerze przyznaje, że taki szczęśliwy zbieg okoliczności odegrał wielką rolę „w powołaniu go w bardzo młodym wieku na profesora zwyczajnego jednej z dyscyplin, na której polu jego rówieśnicy dokonali wtedy z pewnością więcej niż on”. Tak jednak być nie powinno, a przynajmniej to nie przypadek powinien sprawiać, że otrzymuje się szansę na rozwój naukowy oraz na dojście do znaczących wyników w nauce, a co za tym idzie stania się naukowym autorytetem.

Tej ostatniej kwestii poświęcona była zasadnicza część jego wykładu. Punktem wyjścia w niej jest problem „wewnętrznego powołania do nauki”. Zaskakujące może być nie tyle kojarzenie go ze znajdowaniem przez uczonego w sobie wielkiej pasji badawczej, czy natchnienia do uprawiania nauki, co łączenie go „z umiejętnością nałożenia sobie kłapek na oczy i utwierdzenia się w przekonaniu, iż los jego własnej duszy zależy od prawidłowego dokonania poprawki w tym właśnie, a nie w innym miejscu rękopisu” (lub w innej badanej „materii”). Jedno i drugie musi jednak być poparte ciężką i uporczywą pracą. Bywa, że w „trakcie tej pracy uczonemu nie przychodzi do głowy żaden «pomysł» co do kierunku, w jakim zmierzają obliczenia, oraz co do znaczenia częściowych rezultatów”. Co więcej, „pomysł dyletanta może mieć pod względem naukowym taką samą, a nawet większą doniosłość niż pomysł specjalisty. Wiele naszych najlepszych ujęć problemów i osiągnięć poznawczych zawdzięczamy dyletantom”. Nie oznacza to jednak przyznania dyletantom głównej roli w rozwoju nauki. Oznacza to natomiast, że nie ma ani jednej drogi do stania się autorytetem w nauce, ani też jednego wzorca bycia takim autorytetem. Zdaniem Webera, nie może jednak nim być nikt, kto nie traktuje swojego zawodu jako powołania do „służenia nauce” („Tyczy to nie tylko nauki”) oraz poszukiwania zarówno w tym, co się bada, jak i w samym podejmowaniu wysiłku badawczego głębszego sensu<sup>10</sup>.

Dopowiedzenia do tych weberowskich wskazań znaleźć można m.in. w pracy zbiorowej pt. *Autorytety w nauce*, pod redakcją Pawła Rybickiego i Janusza Goćkowskiego. Ten ostatni nie tylko w swoich rozważaniach powołuje się na autorytet Webera, w tym m.in. na wyróżnione przez niego typy panowania, ale także formułuje bardziej kateryczne tezy niż jego poprzednik. Stwierdza bowiem, że „nie ma nauki bez autorytetów, jak nie ma szkoły bez nauczycieli, cechu bez mistrza, twórczości bez wzorców,

<sup>10</sup> „W ten sposób dotarliśmy do problemu sensu nauki. Nie jest bowiem wcale oczywiste, że to, co podlega tego rodzaju zasadzie, jest samo w sobie sensowne i rozumne. Dlaczego podejmuje się pracę, która w rzeczywistości nigdy nie będzie miała końca, ani nawet nie może się doń zbliżyć” (tamże, s. 205).

a obyczajów bez norm”<sup>11</sup>. Wskazuje również (powołując się tym razem na takie m.in. autorytety w zakresie filozofii nauki, jak T.S. Kuhn czy K.R. Popper) na ich zróżnicowanie w różnych dyscyplinach naukowych oraz zmienianie pod wpływem naukowej krytyki ich statusu i funkcji. Przy całym zróżnicowaniu autorytetów można jego zdaniem „wyróżnić trzy kategorie uczonych miarodajnych i wywierających wpływ na wzory myślenia i działania uprawiających działalność badawczą i nauczycielską w danej dziedzinie wiedzy. Są to: a) wielcy poprzednicy danej dyscypliny; b) «ojcowie założyciele» – wybitni twórcy fundamentów danej dyscypliny; c) doktorzy i luminarze teraźniejszości – prezentujący swą twórczością «sytuację problemową» i sposób uprawiania nauki w danym okresie dziejów ukonstytuowanej już dyscypliny”<sup>12</sup>.

W tym zbiorze rozważań o specyfice i roli autorytetu w nauce znajduje się również analiza Janusza Sztumskiego związków i różnic między autorytetem i prestiżem. Jego zdaniem są to wprawdzie dwie różne, jednak powiązane ze sobą w kwestie. Różnice widoczne są m.in. wówczas, gdy odwołamy się do łacińskiej etymologii obu pojęć (*auctoritas* oznaczało „poważanie oparte na posiadaniu władzy”, natomiast *prestigia* „oznaczało zarówno czar, jak też kuglarstwo, mamidło, oszukaństwo itp. zjawiska”). W przypadku uczonego w grę może wchodzić zarówno autorytet, jak i prestiż. Ten pierwszy „może wynikać zarówno z rzeczowej oceny jego kompetencji i walorów osobistych, jak też z tytułu zajmowanej przez niego pozycji w społeczności uczonych lub w ogóle w hierarchii społecznej (...)”. Natomiast ten drugi „jest rezultatem głównie emocjonalnego stosunku do jego właściwości osobistych lub nauki, którą reprezentuje, i posiadanego przez danego człowieka tytułu naukowego. Jego zasadniczą funkcją jest przydawanie uczonemu swoistego blasku przypominającego ten, jaki ma autorytet”<sup>13</sup>. Współcześnie ten pierwszy „będzie w dużym stopniu zależeć od kształtujących przebieg procesu sugestii społecznej, np. od dobrze prowadzonej reklamy”.

### Tzw. epokowe autorytety naukowe

Przed wskazaniem kilku takich epokowych autorytetów spróbuję odpowiedzieć na pytanie, co się niejednokrotnie rozumie pod tym określeniem? - bo to, że ono występuje

<sup>11</sup> Dodaje przy tym, że „Autorytety te są nierozzerwalnie związane z tradycją myślenia i działania naukowego oraz stosunków między uczonymi. Stanowią część dziedzictwa przejmowanego przez uczonych każdej sekwencji nauki z dorobku poprzedników”. Por. J. Goćkowski, *Funkcja autorytetów naukowych w świecie uczonych*, [w:] P. Rybicki, J. Goćkowski (red.), *Autorytety w nauce*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1980, s. 40 i d.

<sup>12</sup> Por. tamże, s. 47. Jedynie dla socjologii podaje on nazwiska tych, którzy podpadają jego zdaniem pod którąś z tych kategorii.

<sup>13</sup> Por. J. Sztumski, *Autorytet i prestiż uczonego*, tamże, s. 37 i in.

w języku potocznym, nie ulega dla mnie wątpliwości, podobnie zresztą jak nie ulega wątpliwości, że różne osoby mają w tej kwestii różne skojarzenia. Jednak nawet przy tych rozbieżnościach epokowe autorytety mają taką moc przyciągania uwagi, że pojawiają się zarówno w skojarzeniach uczniów, jak i ich nauczycieli. Jeśli jeszcze tym skojarzeniom towarzyszy jakaś refleksja historyczna, to bywają one postrzegane i przedstawiane jako swoiste wizytówki albo którejs z epok, albo nauki w ogóle, albo też którejs z jej dyscyplin. Mogą one jednak występować zarówno we wszystkich tych rolach jednocześnie, jak i też jedynie w jednej z nich. W przeszłości pojawiały się również próby kreowania takich autorytetów, które miały mieć ponadepokowy charakter. Przykładem może być założona w 1635 roku przez kard. Richelieu Akademia Francuska (*Académie française*). Liczba jej członków nie mogła i nie może być większa niż 40, ich kadencje są dożywotnie i każdy z nich nazywany jest „nieśmiertelnym” (*l’immortalité*)<sup>14</sup>. Podobnie zresztą było w przypadku członków powstających w późniejszym okresie w różnych krajach Akademii Nauk. Ukazuje to nie tylko aspiracje uczonych oraz ich promotorów, ale także występującą przy tej okazji umowność określeń – bo przecież dla nikogo nie powinno ulegać wątpliwości, że członkowie tych gremiów nieśmiertelnymi nie byli i nie są – co więcej, niejeden z nich nie dokonał niczego takiego wielkiego, aby do niej aspirować. Stanowi to jakąś odpowiedź na pytanie, skąd w tytule tej części rozważań owo „tzw.”.

To, że autorytety te nie spełniają – i spełniać nie mogą – tego warunku, nie oznacza jednak, że nie mogą one spełniać tych warunków, które zostały wskazane przez J. Goćkowskiego przy wyróżnianiu ich typów. Rzecz jasna, jedno z nich spełniają je w większej, natomiast inne w mniejszej mierze. Można jednak znaleźć przykłady takich uczonych, którzy jednocześnie byli poprzednikami swojej dyscypliny, jej „ojcami założycielami”, oraz „doktorami i luminarzami”. Przywołam tutaj kilka takich przykładów.

Jednym z nich był i pozostaje w jakiejś mierze nadal Pitagoras (ur. ok. 572 r. p.n.e.). Dzisiaj w programach szkolnych funkcjonuje jako autor tzw. twierdzenia Pitagorasa<sup>15</sup>. Tym, którzy studiują filozofię, lub przynajmniej interesują się jej tradycjami, znany jest

<sup>14</sup> Bierz się to stąd, że takie ich osiągnięcie, jakim było opracowanie słownika języka francuskiego (Akademia ta skupiała i nadal skupia głównie literatów), na zawsze miało zapisać się w kulturze francuskiej; i w jakiejś mierze się zapisało (akademyści francuscy faktycznie opracowali taki słownik) – tyle tylko, że nie na „zawsze”. Na stronach internetowych można znaleźć pełen wykaz wszystkich dotychczasowych „nieśmiertelnych” członków tego gremium. Przynajmniej niektórzy z nich mogą być postrzegani jako autorytety w dziedzinie literatury.

<sup>15</sup> Przypomnę, że stosujemy je wyłącznie do trójkąta prostokątnego i pozwala ono obliczyć długość jednego z jego boków w sytuacji, gdy znamy długość dwóch pozostałych – jeżeli bowiem trójkąt jest prostokątny, to suma kwadratów długości przyprostokątnych jest równa kwadratowi długości przeciwprostokątnej.



również jako ten, który miał swoją filozofię i swój sposób filozofowania (ponoć tzw. uliczne filozofowanie uznawał za niegodne prawdziwego filozofa), oraz chciał i potrafił dzielić się nią z innymi, co sprawiło, że miał liczne grono uczniów i kontynuatorów. Odpowiedź na pytanie: jaka to była filozofia oraz jaki to był sposób filozofowania, nie może być jednak jednoznaczna. Wiele tutaj bowiem zależy od tego, do którego z historycznych przekazów się odwołujemy. Wszystkie one pochodzą z tzw. drugiej ręki i powstały wiele lat po śmierci Pitagorasa<sup>16</sup>. Jednym z nich są napisane ok. połowy III w. n.e. przez Diogenesa Laertiosa *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*. W świetle relacji tego dziejopisarza (powołującego się zresztą również na różne i nie zawsze zgodne ze sobą źródła) Pitagoras miał zarówno znakomitych nauczycieli (ponoć utrzymywał, że ich dusza przeszła do jego duszy), jak i liczne grono takich uczniów, którzy go naśladowali i „przy nim trwali, a na jego wykłady przyjeżdżali nawet cudzoziemcy”<sup>17</sup>. Przynajmniej niektóre z jego zaleceń (maksym) mogą jednak budzić zdziwienie u jednych i rozbawienie u innych – żeby tylko tytułem przykładu przywołać jego zalecenie: „nie oddawaj moczu, zwracając się ku słońcu”, ani też „nie oddawaj go na ucięte paznokcie i włosy”. Można zapytać: czy taki wielki uczony i filozof nie miał poważniejszych problemów do rozwiązania i czy wypada mu wypowiadać się publicznie w takich intymnych kwestiach?

Tego rodzaju pytań nie wywołuje napisany przez Porfiriusza (zm. ok. 305 r. n.e.) *Żywot Pitagorasa*. Jego tytułowy bohater jawi się w nim bowiem nie tylko jako ważny i poważny uczony i filozof, ale także jako ten, który najpierw uważnie „słuchał nauk Ferekydesa, a później Hermodamasa i Anaksymandra”; „miał syna Arimnestora, który wznosił mu pomnik”, który miał upamiętniać „liczne wynalezione przez niego sztuki i umiejętności”; ponadto „oznaczał się taką czystością obyczajów i niechęcią do spożywania istot żywych, że nie zbliżał się w ogóle do kucharzy i myśliwych”<sup>18</sup>. Zapewne są to ważne dodatki do wykreowania Pitagorasa na pomnikową postać, ale tylko dodatki. Porfiriusz na nich jednak nie poprzestaje i dalej dodaje, że był on przeciwnikiem tyranów i tyranii (takiej m.in. jaką Samijczykom zgotował tyran Polikrates). „Gdy zaś wylądował w Italii udał się do Krotony (...), miasto Krotończyków tak było poruszone pojawieniem męża sławnego z wędrówek i niezwykłego, jak też pod względem natury znakomicie wyposażonego przez los (miał bowiem postać szlachetną i wspaniałą i wdzięk, jak też odznaczał się pięknem głosu i obyczajem), że gdy zjednał sobie dusze rady starców przemawiając długo i pięknie do młodzieży, na polecenie sprawujących

<sup>16</sup> „Sam Pitagoras bowiem niczego nie napisał i bardzo mało informacji o nim zostało potwierdzonych (...)”. Por. G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. 1, Wydawnictwo KUL, Lublin 1993, s. 105 i d.

<sup>17</sup> Por. Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, PWN, Warszawa 1984, s. 477 i d.

<sup>18</sup> Por. Porfiriusz, *Żywot Pitagorasa*, Wydawnictwo Epsilon, Wrocław 1993, s. 3 i d.

władzę po raz drugi zwrócił się z naukami do ludzi młodych” – nawet ... do kobiet („dla słuchania go powstało zgromadzenie kobiet”). Ważne jest oczywiście nie tylko to, kogo nauczał i jak nauczał, ale także to, czego nauczał. W świetle tego przekazu najistotniejsze w jego nauczaniu było to, że „dusza jest nieśmiertelna, następnie, że przechodzi ona w inne rodzaje istot żywych; ponadto, że po dokonaniu się określonego obiegu czasu to, co niegdyś zostało zrodzone, rodzi się na nowo, słowem nie istnieje nic nowego; dalej, że wszystkie istoty żywe należy uważać za pokrewne sobie”. Ważne jest również to, jak było odbierane to nauczanie przez jego uczniów i słuchaczy. Jeśli wierzyć temu przekazowi, to było ono odbierane z podziwem i to przez „ponad dwa tysiące słuchaczy”, a nawet z taką atencją, że „zaliczyli oni Pitagorasa w poczet bogów”<sup>19</sup>. Dzisiaj ten sposób kreacji autorytetów spotkałby się zapewne z różnego rodzaju zastrzeżeniami w środowisku naukowym, a być może nawet uznany zostałby za przejaw jakiejś niemającej wiele wspólnego z nauką wyznaniowości. W czasach Porfiriusza było to jednak dobrze odbierane i traktowane z całą powagą. Potwierdza to m.in. wizerunek Pitagorasa i pitagorejczyków nakreślony przez Jamblicha<sup>20</sup>. Warto pamiętać, że zarówno ten pierwszy, jak i ten drugi starożytny pisarz byli przeciwnikami wierzeń i praktyk chrześcijańskich.

Wielką polemikę z nimi prowadził Aureliusz Augustyn (św. 354–430) m.in. w swoim *Państwie Bożym*, dziele, które poza wszystkim innym stanowi ważny rozdział w historii obalania jednych autorytetów i kreowania innych, w tym autorytetu jego autora (został on zaliczony do Ojców Kościoła). Interesujące może być tutaj m.in. postrzeganie i przedstawianie Pitagorasa nie tyle jako matematyka, co jako tego znaczącego filozofa, który zapoczątkował filozofię Italików i nadał znaczenie samemu pojęciu *filozofia*; „zapytany, czym się zajmuje, odpowiedział, że jest filozofem, to jest przyjacielem albo miłośnikiem mądrości; albowiem uważał za zbyt wielkie zuchwalstwo publicznie siebie mędrce nazywać”<sup>21</sup>. Za nim poszli inni filozofowie italscy, w tym uznawany przez Augustyna za „najcelniejszego z uczniów Sokratesowych, Platon”. Tacy znawcy filozoficznych tradycji, jak przywoływany tutaj wcześniej Giovanni Reale nie tylko podzielała tę opinię, ale także wskazują na przyczynienie się Platona i platonizmu do umocnienia w kulturze zachodniej autorytetu Pitagorasa jako dużego formatu filozofa i uczonego.

Do tzw. epokowych autorytetów zaliczam również angielskiego uczonego (matematyka, fizyka, astronom, alchemik i badacz *Pisma św.*) Izaaka Newtona (1642–1727). Pojawia się on również na kartach szkolnych podręczników, „prześladując” tych ucz-

<sup>19</sup> „Dlatego wszyscy spośród nich – ilekroć zamierzali przekazać komuś coś z niewypowiedzianych tajników Jego nauk (...) przysięgali, przywołując na świadka Pitagorasa jako boga” (tamże, s. 10).

<sup>20</sup> Por. Jamblich, *O życiu pitagorejskim*, tamże, s. 27 i d. Rozprawa ta stanowi jedną z 10 ksiąg *Zbioru nauk pitagorejskich* (zachowały się tylko 4 z nich).

<sup>21</sup> Por. Augustyn św., *Państwo Boże*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2002, s. 289 i d.

niów, którzy z naukami ścisłymi i przyrodniczymi są cokolwiek „na bakier”, a w każdym razie nie pasjonują się ani prawem powszechnego ciężenia, ani też taką matematyczną analizą, która pozwala odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przysłowiowe jabłko spada na głowę, a nie ulatuje w kosmos. W tych rozważaniach nie chciałbym jednak zajmować się ani tymi uczniami, ani tym jabłkiem. Chciałbym natomiast przypomnieć niektóre z tych okoliczności, które sprawiły, że Newton znalazł się w czasach nowożytnych w gronie najbardziej znaczących autorytetów naukowych, a dla niektórych również filozoficznych. Kwestia ta była zresztą już wielokrotnie analizowana i przedstawiana. Odwołam się zatem tutaj jedynie do kilku takich prezentacji, które jeśli nawet nie przekonują do końca swoją trafnością analiz, to przynajmniej mogą stanowić interesujący przyczynek do dyskusji o kreowaniu w czasach nowożytnych i najnowszych tzw. epokowych autorytetów.

Pierwsza z nich powstała zaledwie kilka lat po śmierci Newtona, tj. w 1734 roku, i stanowi część składową *Listów o Anglikach*. Jej autorem jest filozof francuski Wolter – osoba niemająca wprawdzie gruntownego przygotowania naukowego (zaliczył zaledwie dwa lata nauki w jezuickim Kolegium Ludwika Wielkiego w Paryżu), jednak mająca wyostrzony zmysł krytycznej obserwacji, sporą odwagę osobistą i niemały talent literacki (przyznają to nawet jego przeciwnicy). Wszystko to znajduje swój wyraz m.in. w trzech spośród dwudziestu czterech owych *Listów*, tj. w czternastym (*O Kartezjuszu i Newtonie*), piętnastym (*O systemie ciężenia*) i szesnastym (*O optyce Pana Newtona*). Już z pierwszego z nich można się dowiedzieć „o sławnym Newtonie, burzycielu systemu kartezjańskiego (...), otoczonym szacunkiem ziomków, którzy sprawili mu pogrzeb niby jakiemu królowi”<sup>22</sup>. Jego *alter ego* jest Kartezjusz – jeśli wierzyć Wolterowi, niewielkiej miary uczony, ale jeszcze gorszy filozof („natura stworzyła go niemal poetą”). Ta kreacja jednej wielkości poprzez deprecjację innej kontynuowana jest w kolejnych listach. Jedynie dla oddania jej narracyjnego stylu przywołam stwierdzenie jej autora, że „pan Newton unicestwił raz na zawsze wszystkie te małe i duże wiry”, które wiodły swój żywot w teoriach Kartezjusza, podobnie zresztą jak unicestwił jego „błędnie pojmowaną naturę światła” („twierdził bezpodstawnie, iż jest ono ciałem złożonym z drobnutkich kuleczek”). W *Liście szesnastym* wymieniana i oceniana jest liczniejsza grupa uczonych, tj. Galileusz („ukazał mechanikę sprężyn świata poprzez swoje odkrycia astronomiczne”), Kepler (ukazał ją „poprzez swoje obliczenia”), Kartezjusz („przynajmniej przez swoją dioptrykę”) i Newton („we wszystkich swoich dziełach”). Można oczywiście zapytać, skąd ten filozof i utalentowany literat czerpie swoją wiedzę na temat tych bądź co bądź specjalistycznych badań i ich wyników? Pytanie to jest tym bardziej zasadne, że w napisanych nieco później *Elementach filozofii Newtona* (ukazały się drukiem w 1740 r.) szczegółowo je analizuje i wykazuje błędy popełnione już nie

<sup>22</sup> Por. Wolter, *Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne*, PIW, Warszawa 1953, s. 106 i d.

tylko przez Kartezjusza, ale także przez innych uczonych. Nie miał się ich ustrzec nawet Newton. Jednym z nich był pogląd na „rozbiór materii pierwotnej” – przyjmował on (podobnie zresztą jak Kartezjusz) „fantazyjną koncepcję trzech pierwiastków”, tj. ognia, powietrza i ziemi<sup>23</sup>.

Dla tego sposobu kreowania autorytetów naukowych, jaki prezentuje Wolter, charakterystyczne jest, że pomija się w nich to, co mogłoby być uznane za tak poważny błąd, że nie mogliby oni zasługiwać na uznanie i szacunek. Dla autora *Listów o Anglikach* takim poważnym błędem byłoby w każdym przypadku opowiedzenie się za religią chrześcijańską. Odpowiedź na pytanie, jak ta kwestia wyglądała u Newtona, można znaleźć m.in. w biografii tego uczonego nakreślonej przez Franka E. Manuela. Jej autor pisze m.in., że „w ciągu trzydziestu lat wyteżonej działalności intelektualnej w Cambridge (uczony ten był w nim najpierw profesorem matematyki, a później optyki – uw. wł.), w okresie niczym nieporównywalnego wysiłku, dodawała Newtonowi sił świadomość bezpośredniego, przez nikogo nie zapośredniczonego, osobistego kontaktu z Bogiem, jego Ojcem. To dla jego chwały nieprzerwanie się trudził (...)”<sup>24</sup>. Inny z autorów intelektualnego wizerunku Newtona przypomina, że uczony już od lat młodzieńczych interesował się kwestiami religijnymi, a w latach późniejszych swojego życia podjął próbę „uzgodnienia różnych przekazów historycznych zarówno w kwestii chronologii wydarzeń związanych z religią chrześcijańską, jak w kwestiach teologicznych”<sup>25</sup>.

Do tzw. epokowych autorytetów skłonny jestem zaliczyć również Alberta Einsteina (1879–1955); jednak z mocniejszym akcentem na „tzw.” – nie dlatego, że bagatelizuję

<sup>23</sup> „(...) obaj oni doszli do tego samego wniosku różnymi drogami. Newton nie zwykł był przyjmować twierdzeń, które nie miałyby podstaw albo w oczywistości matematycznej, albo w doświadczeniu; wierzył on, że również w tej kwestii pozostaje w zgodzie z doświadczeniem”. Niestety, zmyliło go ono, podobnie zresztą jak zmyliło w tej kwestii „sławnego Roberta Boyle’a”. Por. Voltaire, *Elementy filozofii Newtona*, PWN, Warszawa 1956, s. 46 i in.

<sup>24</sup> „W potajemnych rozważaniach teologicznych rozpatrywał drażliwe problemy dotyczące Trójcy Świętej – badał każdy, w dowolnym języku, biblijny rękopis na temat świętości Chrystusa, który tylko wpadł mu w ręce”. Nieco dalej autor ten dodaje, że „mimo kłopotów ze zrozumieniem religijnych wypowiedzi Newtona, a wiele z nich było filozoficznie nietrafnych, z pewnością można stwierdzić, iż nie był on zwolennikiem ani zwykłego mechanistycznego poglądu na świat, ani deistycznej religii naturalnej. Za złośliwość ująć może powoływanie się na takiego bezbożnego świadka jak Wolter, wówczas gdy dysponujemy licznymi świadectwami nabożnych biskupów (...)”. Por. F.E. Manuel, *Portret Izaaka Newtona*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 130 i d.

<sup>25</sup> „Prace historyczne i teologiczne Newtona nigdy nie były cenione na równi z jego pracami z fizyki czy matematyki. (...) Centralne miejsce w tych poglądach zajmował zawsze Bóg. (...) Ten sam Bóg, który rządzi przyrodą i wypełnia przestrzeń jest jednocześnie Bogiem Starego Testamentu, władcą historii”. Por. J. Kierul, *Izaak Newton*, Oficyna Wydawnicza Quadrivium, Wrocław 1996, s. 254 i in.

znaczenie jego osiągnięć naukowych (takich m.in. jak szczególna i uogólniona teoria względności), lecz przede wszystkim dlatego, że jego badania i osiągnięcia naukowe sytuują się w już w czasach współczesnych, a w nich aspirowanie do epokowej pozycji wygląda bardziej podejrzanie niż kiedykolwiek wcześniej<sup>26</sup>. To, co przez to rozumiem, spróbuję wyjaśnić w dalszej części rozważań. Tutaj zwrócę jedynie uwagę, że ten dużego formatu uczony przedstawiony został zarówno w emitowanym w telewizji filmie dokumentalnym, jak i wieloodcinkowym filmie fabularnym. Dla jednych ujęło to sporo z jego „pomnikowości”, natomiast dla innych, jeśli nawet nie uczyniło mniej tajemniczą jego słynną formułę:  $E = mc^2$  (wyrażającą równoważność masy i energii), to przynajmniej przywróciło mu bardziej ludzkie oblicze – jeśli tak można powiedzieć o jego różnego rodzaju słabościach (np. do pięknych kobiet) i słabościach (np. w badaniach fal grawitacyjnych). Tak czy inaczej, dla nikogo kto jako tako orientuje się w osiągnięciach współczesnej fizyki nie powinno ulegać wątpliwości, że osiągnięcia naukowe Alberta Einsteina w zakresie fizyki były tak znaczące, że należy mu się miejsce w gronie wybitnych przedstawicieli tej dyscypliny<sup>27</sup>.

Jego życiową drogę przedstawiają m.in. Roger Highfield i Paul Carter w *Prywatnym życiu Alberta Einsteina*. W świetle tego przekazu nie była ona ani prosta, ani też łatwa. Jest to zresztą pewną regułą w przypadku takich niepospolitych osobowości i umysłowości. Przypomnę tutaj jednak nie tyle jego życiowe trudności, co te drażliwe kwestie, które skłaniają do postawienia znaków zapytania przy tym autorytecie. Pierwsza z nich została dosyć szczegółowo przedstawiona w początkowych rozdziałach tej biografii Einsteina. Jej autorzy piszą, że w okresie swoich studiów na politechnice z Zurichu (został na nią przyjęty w 1896 r. po nieudanej próbie zdania egzaminu rok wcześniej) wyróżniał się on urodą i wdziękiem („W niczym nie przypominał tak znanej później postaci z rozwichrzonymi włosami, którą ktoś porównał do owczarka na emeryturze (...”). Jednak źle znosił m.in. „wykłady geometrii wykreślnej profesora Fiedlera”. Źle znosiła je również jego ówczesna towarzyszką życia i późniejsza żona Mileva Marić. „Einstein powie później swojemu biografowi, Carlowi Seeligowi, że Milevie, choć była inteligentna i żądna wiedzy, brakowało jej «łatwości pojmowania». Przy innej okazji Einstein się przyznał, że jemu na studiach można było zarzucić to samo”<sup>28</sup>. Nie to jednak stanowi tutaj najbardziej drażliwą kwestię. Znacznie bardziej kontrowersyjną niż historia jego

<sup>26</sup> Na temat życia i osiągnięć naukowych A. Einsteina napisano już sporo monografii. Por. przykładowo: J. Bernstein: *Albert Einstein i granice fizyki*, Świat Książki, Warszawa

<sup>27</sup> Umieszczany jest tam zresztą przez znawców tej dyscypliny. Por. przykładowo: A. Gawryś, Z. Gawryś: *Poczet wielkich fizyków – atomistów*, Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1978.

<sup>28</sup> Por. R. Highfield, P. Carter, *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Prószyński i Sk-a, Warszawa 1995, s. 51 i d.

burzliwego związku z Milewą (Einstein rozwiódł się z nią w 1919 r.) jest kwestia udziału tej ostatniej w sformułowaniu szczególnej teorii względności<sup>29</sup>. Problem w tym, że Einstein nie chciał się dzielić tym sukcesem z nikim – również z Milewą Marią.

Inna z tych drażliwych kwestii związana jest z jego sławą i światowym uznaniem. Autorzy tej biografii w jej rozdziale 9 – zatytułowanym: *Kapłan w świątyni* – piszą, że aż do 1919 roku naukowe dokonania Einsteina znane były w głównie w środowisku fizyków, oraz że „wzbudzał on szacunek u ludzi mających jedynie mgliste pojęcie, na czym polegały jego odkrycia”. To, że nagle, bo w zaledwie w kilka miesięcy, „stał się pierwszą supergwiazdą nauki (...) zawdzięczał nagłówkom gazet angielski i amerykańskich. (...) gdy tylko rozeszła się wieść o nowej teorii, reporterzy pośpieszyli, by poznać jej autora i nie mogli wprost uwierzyć, jaka im się trafiła gratka. Zamiast stereotypowego, spokojnego naukowca znaleźli ekscentryczną postać z rozwianymi włosami, pełną niewymuszonego wdzięku i kpiarskiego poczucia humoru. Einstein był znakomitym materiałem dziennikarskim i rychło proszono go o wyrażenie opinii przy każdej nadarzającej się okazji i na każdy temat. (...) Einstein stał się dla środków masowego przekazu mędrcem, o którego opinie zabiegano jak świat długi i szeroki”<sup>30</sup>. Rzecz jasna, nie stał się nim wbrew swojej woli i bez swojego czynnego udziału. Często bowiem udzielał wywiadów i wypowiadał się na każdy postawiony mu przez dziennikarzy temat; mimo że nie znał się i nie mógł się znać na wszystkim. Ta „wszechwiedza” wpłynęła m.in. na jego negatywny stosunek do wyników badań innych uczonych. Autorzy jego biografii przypominają m.in., że „zażarcie występował przeciwko związanej z mechaniką kwantową teorii nieoznaczoności Nielsena Bohra”<sup>31</sup>.

### Kilka uwag i sugestii

Pierwsza z tych uwag ma stosunkowo najogólniejszy charakter i sprowadza się do stwierdzenia, że wprawdzie historia może być, i czasami jest, nauczycielką życia, ale przede wszystkim, nie zawsze i nie dla każdego – nawet wówczas, gdy w grę wchodzi

<sup>29</sup> „Argumenty na rzecz przypisania teorii względności Milewie przytoczone zostały po raz pierwszy w napisanej przez Trubuhović-Gjurić biografii Milevy *Im Schatten Albert Einsteins* (tamże, s. 142).

<sup>30</sup> „Rewolucja w nauce: Nowa teoria Wszechświata: Idee Newtona obalone» – grzmiał londyński «The Times» z 7 listopada 1919 roku. (...) Gdy wyniki te zostały ogłoszone w Londynie na posiedzeniu Royal Society, wywołały sensację, a prezes tego Towarzystwa oznajmił, że teoria względności stanowi prawdopodobnie najbardziej doniosły wytwór myśli ludzkiej” (tamże, s. 237).

<sup>31</sup> „Jak na ironię, upórczywe obiekcje Einsteina bardzo przysłużyły się nowej teorii, gdyż zmusiły jej wyznawców do przemyślenia wszystkich wątpliwych kwestii. Ale poprzez swój sprzeciw znalazł się on jeszcze bardziej na marginesie nauki (...)” (tamże, s. 253).

dużego formatu autorytety naukowe. Można oczywiście od nich oczekiwać, że będą przejmowali z niej to, co najlepsze, a przynajmniej nie powielali tego, co nie przysłużyło się dobrze ani uczonym, ani też nauce. Łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Można także od nich oczekiwać, że jeśli już popełnili jakieś poważne błędy w swoim myśleniu i postępowaniu naukowym, to będą próbowali je wyeliminować, albo przynajmniej przyznają się do nich, a w każdym razie zrobią coś, co sprawi, że nie będą one ciągnęły za sobą jakiegoś wstydliwego ogona. Takie próby wprowadzić oni czasami podejmowali i podejmują, jednak nie tak często, aby można było powiedzieć, że przychodzi to im łatwo. Łatwiej im przychodzi – podobnie zresztą jak każdemu innemu – „okopanie się” na zajętych stanowiskach i tkwienie na nich tak długo, jak tylko można, i ew. szukanie takich sojuszników, którzy będą ich utwierdzali w słuszności ich zachowania i postępowania. Nie oznacza to oczywiście, że autorytety naukowe niczym specjalnym nie różnią się od tzw. zwyczajnych ludzi. Oznacza to natomiast, że nie we wszystkim, co myślą i co robią, oraz jak się zachowują i postępują w swoim zawodowym życiu, są tak doskonali, aby po pierwsze, nie popełniali żadnych błędów, a po drugie, rozstawali się z nimi bez żalu. Krótko mówiąc: nie są bogami ani nawet takimi „kapłanami” w świątyni wiedzy, którzy posiadają umiejętność usłyszenia głosu z „Nieba” i przekazania go wszystkim wiernym. Przywołane tutaj przykłady takich autorytetów, jak Newton czy Einstein przekonują, że tych stwierdzeń nie należy traktować wyłącznie jako literacką metaforę.

To, że niejednokrotnie autorytety naukowe wynoszone są na tzw. ołtarze nie tylko za sprawą własnych pragnień i własnych dokonań naukowych, ale także przy znaczącym udziale tych, którzy im nie dorównują ani swoim intelektem, ani też swoimi dokonaniami, a bywa również, że nie do końca się orientują w znaczeniu tych dokonań, nie jest czymś wyjątkowym. Przeciwnie, jest czymś tak częstym, że można to uznać za pewną regułę. Jest to zresztą w jakimś mierze zrozumiałe. W końcu każdy z nich chciałby, aby na niego również spadła jakaś część tej sławy i chwały, którą daje dokonanie znaczącego odkrycia w nauce – chociażby poprzez takie jego nagłośnienie, aby mówiący i piszący o nim mogli uchodzić za osoby „wtajemniczone w sprawę”. Od czasów Pitagorasa do czasów Einsteina wiele się oczywiście zmieniło w kwestii popularyzatorów osiągnięć naukowych znaczących uczonych. Nie tylko bowiem radykalnie zwiększyła się ich liczba, ale także istotnie zmieniły się sposoby i techniki przekazywania tych informacji oraz możliwości docierania do tzw. szerokiego odbiorcy. W przeszłości pod tym ostatnim określeniem rozumiano czytelnika dzieł uczonych, a obecnie rozumie się przez to przede wszystkim słuchaczy i „oglądaczy” tego, co się pojawia na tzw. szklanym ekranie. Jedno wydaje się jednak tutaj pozostawać niezmiennie, tj. oczekiwanie na pojawienie się takiego Mistrza i Nauczyciela, który będzie wszystko wiedział, a przynajmniej będzie potrafił rozwiązać nasze najpoważniejsze problemy. Stwierdzenie to można oczywiście potraktować jako metaforę. Można jednak ją również rozumieć niemal dos-

lownie – zwłaszcza wówczas, gdy się nieco uważniej przyjrzyć funkcjonowaniu w środowiskach masowego przekazu tzw. ekspertów od wszystkiego<sup>32</sup>.

Kreowanie w mediach autorytetów naukowych stanowi jednak tylko jedną stronę tzw. medalu. Drugą z nich jest stawianie ich pod znakiem zapytania oraz zdejmowanie ich z piedestału. Wprawdzie pod tym względem również sporo się zmieniło od czasów Pitagorasa, to jednak niektóre sposoby przetrwały próbę czasu. Zaliczam do nich m.in. ten, który polega na ujawnianiu różnego rodzaju słabostek i słabości wielkich ludzi – poczynawszy od pokazywania ich życiowych nieporadności, a skończywszy na wskazaniu takich błędów, które stanowią świadectwo „zasklepienia się” w świecie swoich myśli lub swojej teorii naukowej. Te pierwsze oczywiście są łatwiejsze do znalezienia i przedstawienia w taki sposób, że osoby uznawane za autorytety nie tylko tracą na swojej powadze, czy osobistym uroku, ale także na swoim oddziaływaniu na innych. Takie podejście Georg W. Hegel nazywał kamerdynerskim. Przysłowiowy „kamerdyner” bowiem nie potrafi dostrzec u swojego pracodawcy jego wielkości, natomiast ma okazję do zobaczenia i usłyszenia jego zwyczajnych ludzkich niedoskonałości. Nie stanowi to poważniejszego problemu dopóty, dopóki nie zechce on lub nie potrafi podzielić się swoimi „rewelacjami” z tzw. szerokim odbiorcą i – co nie mniej istotne – dopóki nie znajduje dla nich szerokiego zainteresowania. Rzecz jednak w tym, że dzisiaj „kamerdynery” coraz więcej w tym zakresie potrafią oraz coraz szersze jest grono tych, którzy poszukują takich sensacji, które przekonują, że nikt nie jest tak wielki, aby mógł uchodzić za epokowy lub chociażby pokoleniowy autorytet.

Rzecz jasna, z czegoś to się bierze. Nie miejsce tutaj na gruntowne analizy tego problemu. Był on jednak już wielokrotnie podejmowany i posiada bogatą literaturę. Ograniczę się tutaj jedynie do przywołania tych sugestii, które pojawiają się na kartach rozprawy Alasdaira MacIntyry pt. *Dziedzictwo cnoty*. W ich świetle współczesna kultura zachodnia jest w gruncie rzeczy światem... bez prawdziwej cnoty, a w każdym razie światem bez tej, którą posiadała dopóty, dopóki opierała się na chrześcijańskiej tradycji. Autor tej rozprawy porównuje ją do statku płynącego na wzburzonym morzu pod pełnymi żaglami, ale niemającego ani niezawodnego steru, ani też takiego niezawodnego sternika, który zarówno potrafiłby się tym urządzeniem sprawnie posługiwać, jak też posiadałby odpowiedni autorytet wśród załogi. Musi to w końcu doprowadzić do katastrofy. Ten niebezpieczny rejs miał się zacząć w epoce Oświecenia. Zdaniem MacIntyry, podjęto wówczas próbę zastąpienia kultury opartej na tradycji chrześcijańskiej i związanych z nią autorytetach, wiarą w możliwości kreacyjne oświeconego rozumu ludzkiego oraz autorytet tych, którzy sami siebie uznali za jego najlepszych

<sup>32</sup> Szerzej wypowiadałem się na ich temat w artykule pt. *Zastąpić Pana Boga? W sprawie aspiracji i kwalifikacji tzw. ekspertów*. (Nauka nr 4/2015, s. 31 i d.).



reprezentantów. Ten „oświeceniowy projekt moralności” miał jednak zasadniczą wadę, tj. odwoływał się do „zasad niedających się odrzucić przez żadną rozumną istotę i z tej racji niezależnych od wszystkich społecznych i kulturowych partykularyzmów (...). Jednakże myślicielom Oświecenia i ich następcom nie udało się uzyskać zgody właśnie co to tych zasad, które wszyscy inni mieliby uznać za niezaprzeczalne”. Efektem tego jest m.in. to, że „współczesne debaty w przestrzeni publicznej nie tylko nie prowadzą do żadnej pozytywnej konkluzji”, ale także to, że każdy z jej uczestników „czuje się uprawniony do wydawania sądów” oraz poddawania krytyce wszystkiego i wszystkich z dowolnego punktu widzenia<sup>33</sup>. Rzecz jasna, można polemizować z tą wizją współczesnej kultury. Tyle tylko że dostarczylibyśmy w ten sposób kolejnych argumentów na rzecz tezy, że wszystko jest w niej do zakwestionowania.

### Scientific authorities of their times

In these remarks I make an attempt to understand and present the functioning of authorities in science. I do use in the first place the earlier claims which present this issue in a historical perspective. This allows to grasp the social process of emergence of the authorities as well the changing of their position in the way they are functioning. Especially the thoughts of Max Weber are being considered by me as useful in this matter. I do share his general thesis saying that even the greatest of scientific authorities – called by me in these remarks “centennial” – couldn't occur and function without their social and cultural “background”. This had led in large extent to the situation where these authorities first played a significant role in the development of science and then went over to a more or less dignified “retirement”. In this and other issues I present some of my own remarks and suggestions.

**Key words:** scientific authorities, creation of authorities, questioning of authorities, historical and modern conditioning of so called major authorities

---

<sup>33</sup> Por. A. MacIntyre, *Dziedzictwo cnoty. Studium z teorii moralności*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996, s. 54 i d.

